

## ZOFIA WEISER ur. 1918; Lublin

<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Rodzina
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
<b>Słowa kluczowe</b>	Lublin Królewska 3 dom Grendera skład futer Lubartowska Gryzolet Gmina Żydowska sklepy żydowskie

### Rodzina

Byliśmy zamożną rodziną. Moi rodzice posiadali sklep przy ul. Królewskiej 3 w kamienicy, w której dzisiaj mieści się bank. Tata prowadził skład z futrami oraz konfekcją męską, damską i dziecięcą. Był to bardzo elegancki sklep. Modele ubiorów sprowadzane były od Hersego z Warszawy. Nasza firma należała do I kategorii. Posiadam zaświadczenie z Lubelskiego Urzędu Skarbowego mówiące, że nasz skład był I kategorii. Otrzymałam je od pana Miłosa, który był naszym przyjacielem w Lublinie i pracował w Urzędzie Skarbowym. Początkowo mój ojciec był wspólnikiem Rozenbauma, a potem staliśmy się wyłącznymi właścicielami sklepu. Stało się tak, ponieważ Rozenbaum zachorował. Jednocześnie byliśmy współwłaścicielami kamienicy Królewska 3. Był to dom Grendera i część należała do nas. Pamiętam to, ponieważ mówił mi o tym ojciec, zaznaczając, że dzięki temu jestem materialnie zabezpieczona. Dla mojego ojca pracowało 25 rzemieślników futrzarskich i krawieckich. Cieszył się ich ogromnym szacunkiem. Szanowały go także ich rodziny. Po sklepie rodziców został mi tylko wieszak z nazwą firmy oraz rodzinne fotografie, które zawsze miałam przy sobie. Nawet w najtrudniejszych chwilach podczas okupacji. Sklep rodziców był przechodni. Wejścia były zarówno od Królewskiej, jak i Bernardyńskiej. Główne wejście było od Królewskiej. Sklep posiadał duże okiennice, a zatrudniony w nim subiekt musiał robić dwie wystawy w witrynach. Gdy weszło się do sklepu, to po prawej stronie znajdowało się biurko, a po obydwu stronach pomieszczenia wisiły ubrania. Po jednej stronie były to męskie garnitury i płaszcze, a z drugiej strony damskie i dziecięce. W następnym pomieszczeniu sklepowym sprzedawano futra. Był tam skład futer i błamów, które kupowało się hurtowo oraz dodatki do futer. Miarami zajmował się mój ojciec. Na pierwszym piętrze znajdowały się dodatkowo jeszcze dwa pokoje damski i męski. Ubrania i futra mierzyło się zarówno na dole, jak i na górze. Na piętrze sprzedawano ten sam asortyment, który znajdował się na dole. W sklepie moich rodziców zatrudnionych było ośmiu subiektów i buchalter. Buchalterem był Polak, natomiast wśród subiektów zatrudnieni byli dwaj bracia ojca - Symcha i Idek-Izrael. Subiekci, chociaż Żydzi, musieli mówić dobrze po polsku, ponieważ klientela była przeważnie katolicka. Rzemieślnicy, którzy szyli dla naszej firmy, byli także przeważnie Żydami.

Chodziłam do babci na ul. Lubartowską w piątce, nosząc jej różne smakołyki, stąd też znam tę ulicę. Lubartowska w mojej pamięci była bardzo ruchliwa. Widziało się tam wielu tradycyjnych

Żydów. Nawet w domu mojego dziadka był drugi pokój, do którego przychodzili talmudyści z pejsami. Przychodzili tam modlić się i studiować. Dużo czasu jednak na Lubartowskiej nie spędzałam. Lepiej znałam centrum miasta. Jednak na Lubartowskiej widziałam też żydowską biedotę i to wielką biedotę. Pamiętam, że przeżyłam szok, gdy zobaczyłam, że na Lubartowskiej ludzie noszą wodę na specjalnych nosidłach. Jednak wiem, że wśród Polaków pokutuje stereotyp, że każdy Żyd musiał być bogaty. Przez wiele lat miałam we Francji polską służącą - Janinę. Była to prosta Polka i uważam ją do dzisiaj za swoją największą przyjaciółkę. Jednak, gdy rozmawialiśmy o Żydach, to ona zawsze powtarzała, że przed wojną każdy Żyd w Polsce był adwokatem lub doktorem, co przecież nie jest prawdą. Wracając do Lubartowskiej, to trzeba powiedzieć, że była to już uboższa ulica w porównaniu chociażby ze Staszica, przy której mieszkaliśmy.

Nasz dom był bardzo elegancki. Podobnie było także z mieszkaniem przy ul. Żmigród. Wiem, że w czasie wojny to mieszkanie zostało zajęte przez Polaków razem z częścią naszych rzeczy. Byłam tam po wojnie. To znaczy weszłam na II piętro, ale nie odważyłam się wejść do mieszkania. Nie wiedziałam jak zareagują na to ci ludzie, którzy tam mieszkali. Pamiętam jedynie, że już po wojnie cała ta kamienica była mocno zdegradowana. Szczególnie przykry widok przedstawiała klatka schodowa, która przecież przed wojną była tak elegancka.

Moi rodzice nie byli religijni. Byliśmy rodziną raczej zasymilowaną, ale obchodziliśmy najważniejsze, żydowskie święta religijne - Rosz Haszana, Jom Kipur i Pesach. Święta te celebrowaliśmy u dziadków, którzy byli religijni. Dziadkek Szteigier, ojciec mojej mamy, był kupcem przy ul. Lubartowskiej. Miał tam swój sklep, chociaż nie tej klasy, jak mojego taty przy Królewskiej. Niestety, w czasie I wojny światowej, dziadek został inwalidą - stracił kawałek języka i nie mógł obsługiwać klientów. Babcia natomiast była sparaliżowana. Sklep w rzeczywistości prowadziła moja mama, będąc w zasadzie jeszcze dzieckiem. Była w wieku szkolnym, ale właśnie z tego powodu nie mogła chodzić do szkoły, ponieważ ktoś musiał zajmować się sklepem. Wieczorami przychodził do niej prywatny nauczyciel. Z pewnością ten fakt spowodował, że tak bardzo chciała, żebyśmy my, jako jej dzieci miały pełne wykształcenie. To było dla niej najważniejsze. Dziadek od strony ojca, Didier Gryzolet, prowadził pod Lublinem przedsiębiorstwo naprawy dróg i wyrobu bruku. Posiadał koncesję z Ministerstwa Transportu. Miał wóz i swoich robotników, naprawiali drogi. Dziadkowie od strony ojca mieszkali przy ul. Zamojskiej 27.

W domu rozmawiało się po polsku. Rodzice z nami rozmawiali tylko po polsku. Ze sobą czasami rozmawiali po żydowsku, ale tylko wtedy, gdy chcieli, żebyśmy nie rozumieli tego, co nie było dla nas przeznaczone. Dziadkowie rozmawiali z nami i po polsku i po żydowsku, ale tak naprawdę żydowskiego nauczyłam się dopiero po wojnie, we Francji, gdy pracowałam społecznie wśród starszych ludzi, dla których język jidysz był naturalnym językiem komunikacji. Od nich nauczyłam się trochę mówić po żydowsku. Przed wojną i w czasie wojny, gdy byłam już we Francji, nie znałam języka żydowskiego. Nie należałam do organizacji politycznych. Owszem, interesowałam się problemami politycznymi. Do dzisiaj się nimi interesuję, ale nie było to i nie jest moim życiem. Poza tym przed wojną wydana zostałam za męża. Mąż mój miał staż w garbarni u Brykmana na Kalinowszczyźnie. W tej dzielnicy moi rodzice mieli wybudować też garbarnię dla nas. Nie było czasu na politykę. Jediną osobą z rodziny, która związana była z polityką, był mój wuj, Ber Gryzolet. Był zapalonym syjonistą, idealistą. W latach 30. był już ustabilizowanym człowiekiem. Miał rodzinę i duży sklep. Mimo wszystko zdecydował się na wyjazd do Palestyny, mimo że mój dziadek był przeciwnikiem tego pomysłu. Jednak wujek sprzedał sklep i wyjechał.

Muszę tutaj podkreślić, że miałam matkę bardzo dobrą i hojną. Nigdy nikomu niczego nie żałowała. Podobnie było z ojcem, który dodatkowo nigdy nie chciał się wywyższać i ustępował wszystkim. Ojciec nigdy też nie uchylał się od różnych ofiar na Gminę Żydowską. Proponowano mu kiedyś nawet, by zajął oficjalne stanowisko w Gminie. Tata jednak odmówił, wymawiając się brakiem czasu. Obiecał, że nadal będzie wspierał Gminę finansowo, ale lepiej byłoby, żeby stanowisko zajął ktoś, kto ma więcej czasu i ochoty, by się tym zajmować. Nigdy nie chciał być na przedzie i jednocześnie pozostawał bardzo ofiarnym człowiekiem. Byłam świadkiem, jak go proszono o zajęcie tego stanowiska. Często do sklepu nie przychodziłam, ale wtedy, rankiem, idąc do szkoły, zaszłam do sklepu i widziałam właśnie delegację z Gminy, która przyszła do ojca, by prosić go, żeby stanął na czele tej instytucji. Podobnie było z moją mamą, która bardzo angażowała się w pomoc potrzebującym. Pamiętam, że zawsze zbierała pieniądze na posag dla jakichś ubogich dziewcząt żydowskich, które miały wyjść za mąż. Zbierała posagi lub kupowała pościel dla tych dziewcząt. Często wraz ze służącą chodziła z koszami po szpitalach lubelskich, rozdając chorym jedzenie, owoce, słodycze. Pamiętam, że w domu robiło się soki, na przykład sok z winogron, który mama też nosiła do szpitala.

My obracaliśmy się wśród zamożniejszej sfery. Nasza rodzina była zawsze kupiecka. Brat mojej babci, wujek Wajnbaum, miał przy ulicy Grodzkiej duży sklep z towarami łokciowymi. Zналиśmy adwokatów, lekarzy, zamożniejszych kupców i przemysłowców, jak chociażby rodzinę Zylberów, bodajże najbogatszą w Lublinie. W okresie międzywojennym. Zylberowie i moi rodzice to była ta sama generacja. Naszymi kuzynami, o czym już wspomniałam, były rodziny Fiszman i Korman, znane kupieckie rodziny w mieście. Obie te rodziny były również spowinowacone ze sobą. Ubieraliśmy się u najlepszych krawców lubelskich. Sukienki szyła nam Polka, Paulina, natomiast buty były od Bogusława, najlepszego i najbardziej eleganckiego szewca lubelskiego. Jak dokładnie się nazywał, tego nie wiem, ale pamiętam, że na szyldzie jego firmy była nazwa Bogusław.

Data i miejsce nagrania	2001-12-01, Lublin
Rozmawiał/a	Robert Kuwałek
Transkrypcja	Robert Kuwałek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"